Nr. 4. We Lwowie dnia 28. stycznia 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha



Muzeum Społeczne w Paryżu.

I.

Kiedy przed kilkunastu laty powstawały pierwsze muzea pedagogiczne, publiczność na razie nie wiedziała, co o tem sądzić? bo co ma zawierać muzeum »pedagogiczne«? Instytucje ochrzczone tą nazwą, rozwinęły się jednak wspaniale i rola, jaką odegrały w wychowaniu wychowawców, nie jest stanowczo mniejszą od roli katedr uniwersyteckich. Muzeum takie, składające się z bibljoteki fachowej i kompletnego zbioru materjalnych pomocy szkolnych, stanowi znakomite przejście od teorji pedagogicznaj do praktyki i pozwala każdą kwestję, każdy drobiazg zbadać do głębi, poznać erudycyjnie, historycznie i poglądowo. Ta sama zapewne przyszłość czeka nowo powstające instytucje, t. zw. muzea społeczne. Inicjatywa tych muzeów nie jest zresztą tak bardzo nowa. Już w roku 1867 słynny socjolog, czy może lepiej humanista francuzki Le Play powziął i urzeczywistnił plan wystawy »przedmiotów, mających na celu polepszenie warunków egzystencji społecznej«. Mowa tu oczywiście o egzystencji warstw ludowych — przedmioty oznaczały wówczas przeważnie statuta i dane, tyczące się rozmaitych stowarzyszeń, niosących pomoc tym warstwom.

W r. 1889 na wielkiej wystawie paryskiej utworzono już specjalną sekcję »ekonomji społecznej«. Sekcja ta, prócz owych statutów, zawierała sporo przedmiotów, poglądowo przedstawiających urządzenia społeczne w rodzaju wzorowych lokalów robotniczych, urządzeń ratunkowych, dalej grupy fotograficzne i t. p. Spora ilość broszur, tablic i dokumentów wyjaśniała publiczności znaczenie tych instytucji, szerząc niejako ich łagodną propagandę. Zgromadzone przez wystawę ekonomji społecznej zbiory okazały się o tyle cennemi, iż rząd postanowił urządzić ich stałą wystawę, co po pewnych perypetjach doszło do skutku. Zanim jednakże instytucja rządowa rozwinęła się należycie, nowa inicjatywa prywatna powołała do życia jeszcze szerzej pomyślaną instytucję — właściwe Muzeum społeczne.

Tym razem inicjatorem był hr. Chambrun, osobistość znana ze swej ofiarności i zainteresowania się kwestjami społecznemi, jeden z gorętszych zwolenników Le Play'a. Oto jest ustęp z listu hr. Chambrun'a do ministra handlu z 25. czerwca 1894.:

». . . Towarzystwo »Muzeum społecznego« posiada 200 000 fr. kapitału żelaznego. Lokalem jego ma być hotel hr. Chambrun'a. Co zaś do celu Towarzystwa, to chodzi o wskrzeszenie tego, cośmy czasowo oglądali na Wystawie 1889 r. Muzeum społeczne zajmie się więc urządzeniem bibljoteki w kwestjach społecznych, dalej zgromadzi przedmioty i dokumenty pouczające z zakresu nauk społecznych, następnie będzie urządzało odczyty, udzielało rad i wskazówek tak technicznych jak i nau-

kowych, mając zawsze na względzie bezpłatne nauczanie i pomoc w zagadnieniach rozwoju społecznego wobec szerokiej publiczności.

Główne artykuły statutu Towarzystwa »Muzeum społecznego« wyjaśniają ten ustęp całkowicie:

Art. I. Muzeum społeczne uważa za swój cel wystawić do użytku publiczności wszelkie dokumenty, modele, plany, statuty i t. p. instytucji i organizacji społecznych, których zadaniem jest polepszanie materjalnego i moralnego bytu klas pracujących.

Art. II. Za główne środki działania Towarzystwo uważa:

1. Stałą wystawę ekonomiczno-społeczną.

2. Czytelnię i salę do pracy o wstępie wolnym.

3. Udzielanie wszelkich wskazówek co do urządzeń społecznych tym, którzy ich będą w Towarzystwie szukali.

4. Urządzanie konferencji technicznych bądź o instytucjach już istniejących, bądź projektowanych.

5. Organizację stałych popularnych wykładów w kwestji społecznej.

7. Wysyłanie stypendystów dla badania kwestji i instytucji społecznych w kraju i zagranicą.

7. Publikacje o pracach Muzeum społecznego.

8. Udzielanie nagród lub pomocy instytucjom lub dziełom, które uzna za pożyteczne.

Art. 18. Statuta obecne mogą być zmodyfikowane li tylko za aprobatą rządu.

Osobami wreszcie, którym dzieło swe powierzył hr. Chambrun, są: J. Siegfried, minister handlu, prezes Muzeum; K. Robert i Cheysson, wice-prezesi; P. Cheysson jest inspektorem dróg i mostów, wykłada przytem w szkole politycznej i w wyższej szkole górniczej — ekonomji politycznej. Wśród członków komitetu widzimy wreszcie dyrektora szkoły politycznej, akademika E. Butmy'ego oraz pp. Gigot'a i Picot'a.

Towarzystwo Muzeum społecznego, tak hojnie uposażone przez swego założyciela, w roku bieżącym będzie miało około 100.000 fr. dochodu i przystępuje niezwłocznie do swych czynności.

Resztę artykułów statutu, jako zastosowanych specjalnie do formalnych warunków prawa, pomijam.

Przytoczone wyżej artykuły statutu dość przejrzyście określają cel i w miarę powodzenia, doniosłość Muzeum społecznego. Są tu właściwie dwa cele: pierwszym jest bezwątpienia wpływ na warstwy inteligentne, propaganda i instytucji i urządzeń, których pożyteczność, wartość społeczna szczęśliwie przeszła próby praktyki. Obszerna bibljoteka, zawierająca nie same tylko traktaty teoretyczne, jak bibljoteki uniwersyteckie, lecz statuty, sprawozdania i wykazy instytucji społecznych, już sama jest dziełem bardzo poważnem w czasach powszechnego zajęcia się kwestją społeczną. Aparat poglądowy tablic, modelów i t. p. podnosi znacznie jej wartość, nie mówiąc już o pośrednictwie Muzeum w zasięganiu wszelkich fachowych wskazówek.

Nagrody za instytucje wzorowe, stypendja dla studjujących kwestje społeczne nadają dziełu hr. Chambrun'a tem szerszą wziętość i wpływ na rozwój ruchu wśród inteligencji francuzkiej.

Drugi cel najdosadniej wyraża się w 4. i 5. punktach artykułu II. ustawy: Muzeum będzie urządzało konferencje t e c h n i c z n e i wykłady p o p u l a r n e.

Innemi słowy postara się Muzeum o zbliżenie bezpośrednie do klas pracujących.

Przy Muzeum zawiązało się już dziś towarzystwo, wśród członków którego widzimy: Leona Say'a, Jules Simon'a, Cheysson'a, Robert'a, Boutmy'ego, Picot'a i t. d. Zbyt znane są nazwiska te, ażebym potrzebował wyjaśniać, z jaką to grupą społeczności francuskiej mamy do czynienia. Bankierzy, dyrektorowie wyższych zakładów, ministrowie byli i obecni — zgromadzenie, dające zupełną rękojmię lojalności rozpoczętego dzieła. W konferencji swojej w Lyonie o Muzeum społecznem Cheysson mówił: »Kwestje, tyczące się kuchni anarchistycznej, przepisy na bomby będą zupełnie wykluczone z zakresu działalności Muzeum«. — Można być tego pewnym. — »Natomiast — mówił dalej — w s z y s t k o, co ma związek z kwestją moralnego i materjalnego polepszenia bytu warstw pracujących znajdzie tu wierne odbicie«.

Czy w s z y s t k o?

O ile można sądzić z dzisiejszej zawartości Muzeum i jego bibljoteki, jeśli nie w s z y s t k o, to w każdym razie to, co Paryż dać może — jest to dość dużo. Z drugiej strony nie ulega kwestji, że konferencje w Muzeum inne będą, aniżeli n. p. konferencje Lafargue'a lub Guesde'a, rzeczników socjalizmu i radykałów.

Starałem się nowo powstającą instytucję opisać jak najobjektywniej, a artykuły statutu, przykłady dawnych ustaw, tradycje Le Play'a aż nadto wyraźnie tłumaczą, jak rozległym może być zakres jej wpływów. Mamy do czynienia z instytucją bardzo szeroko pomyślaną i uposażoną w bogate środki. Nie mamy również powodu podejrzywać lub obawiać się intencji jej twórców. Muzeum hr. Chambrun'a należy do t. zw. instytucji patronalnych t. j. takich, które będąc przeznaczonemi dla ludu, kierownictwo swe mają w klasie uprzywilejowanej — kierownictwo i podstawę bytu materjalnego. W ten sposób pomyślana propaganda nie może przynieść ujmy społeczeństwu — przeciwnie — pożądanem jest jaknajczęstsze stykanie się tych dwóch żywiołów nie tylko na polu walki.

Inicjatywa hr. Chambrun'a, poparta przez szerokie i wpływowe koła, nabiera w ten sposób znaczenia doniosłego objawu społecznego. Warto słów parę poświęcić objawowi temu, zważywszy, że Muzeum społeczne, syndykaty, stowarzyszenia, kasy i t. p. instytucje patronalne, jak stwierdzają fakty, coraz powszechniej przyjmują się w opinji sfer uprzywilejowanych Francji.

Antoni Polocki.

PRZY STUDNI.

(NA BUNARU).

POWIASTKA Ł. K. LAZAREWIĆA.

(Ciąg dalszy).

Gdy następnie Radojka opowiedziała o wszystkiem dziaduniowi, ten zamyślił się głęboko. W końcu zmarszczył brwi.

— Wiesz, bratowo — rzekł — wszystko to jest prawdą, co mówisz o niej. Ale słyszałem od starych ludzi, że nie godzi się przeszkadzać dzieciom w takiej sprawie. Mamy, chwała Bogu, dom nie mały. Co, czy jest nas wszystkich tak około ośmdziesięciu?

— Jest, bogami, nawet jeszcze więcej.

— Kiedy jest, to dzięki Bogu. Przy innych dzieciach to i ona do ładu przywyknie.

— Daj Boże!

III.

W kilka dni potem mówiła Anoka jednej ze swych przyjaciółek:

— Wiedziałam, że wszystko stanie się według mojej woli. Nie znajdziesz-bo takiej dziewuchy, jak ja, chociażbyś w dziewięciu wsiach szukał!

Potem wydobyła z zanadrza źwierciadełko w futeraliku i poczęła zakręcać sobie włosy.

Na nieszczęście, gdy weszła do domu Dzienadyća, nie przestała być takąż samą kapryśnicą, jaką była u ojca.

Wszystko wie lepiej od innych, wszystko musi być tak, jak jej się podoba, nie chce robić tego, co się jej rozkaże. Mówi:

— Nie robiłam tego u ojca! — albo:

— Brakowało chyba tego, abym rozczyniała ciasto na całe wojsko sułtańskie! Dla mnie i dla Arsena dosyć i jednego bochenka chleba!

Kobiety nie ośmielają się jej nic powiedzieć. Którakolwiek może i poskarży się tam mężowi, ale Radojce lub dziaduniowi któżby odważył się coś napomknąć? Długo znosiły i ukrywały swą niedolę. Pracowały za nią i ulegały jej woli. W jej obejściu się było coś rozkazującego, tyrańskiego, tak, żeś musiał ją usłuchać. Może to jej krasa była przyczyną, że tak panowała nad kobietami. Jej bratowe zwymyślały ją w swem kółku, broniły jednak przed starszymi lub obcymi. I Bóg wie, jak długo cierpiałyby bez szemrania, gdyby Anoka, nie przeżywszy jeszcze całkowitych sześciu miesięcy, nie poczęła szaleć coraz bardziej. Wstyd nawet wspominać o pewnych jej wybrykach. Naprzykład o tem, co powiedziała, gdy zawołano ją do sadzenia kapusty, albo gdy któraś z kobiet prosiła, aby jej przypilnowała dziecka. Nareszcie poczęła żądać, aby ją lepiej i inaczej ubierano. Biedaczysko Arsen przekłada jej, że dziadunio z Radojką zakupują odzież dla wszystkich, że on nie śmie nawet napomknąć dziaduniowi o kupieniu dla niej samej nowego wyszywanego stanika; ale ona odpowiada, że nie za dziadunia wyszła zamąż i że uda się do ojca z prośbą o kupienie jej, czego koniecznie potrzebuje, ponieważ mąż jej jest odrapańcem, który nawet igły wziąć nie śmie, nie spytawszy o pozwolenie tego starowiny.

Wszystko to martwiło Arsena okropnie.

Gdyby tylko nie patrzyła nań temi swemi oczyma, dałby on sobie z nią radę. Czasami założy już rękę za pas, zaciśnie cybuch w zębach i chwyci za kij, ale gdy ona spojrzy na niego, podniósłszy głowę, Arsen staje się tak potulnym, jak gdyby stał przed samym **władyką***. W ten sposób szalała Anoka coraz gorzej i gorzej, a wszystko starała się czynić na przekór.

Wpuściła naprzykład psy do kuchni, a te powyżerały z garnków mięso. Nie zatknęła czopa w beczce. Spaliła chleb tak, że cały piec chleba przyszło oddać trzodzie chlewnej. W dni powszednie ubierała się odświętnie. Nigdy nie zwróci najmniejszej uwagi na to, co się dzieje z dziećmi; z jej to przyczyny wpadł dzieciak Jovanki do kadzi z wapnem. Nie przepuści nikomu, ponadawała wszystkim szyderskie przezwiska. Radojkę nazwała »ożogiem«, a dziadunia »suchotami«. Codzień czegoś nabroi, a na wszelkie uwagi odpowiada groźbą powrotu do ojca.

Sprzykrzyło się to kobietom okropnie i oto, gdy pewnego razu Anoka z koleji powinna była przyrządzać obiad, a zamiast tego poszła sobie na rynek, zgromadziły się wszystkie na tajną radę.

— Nie wiem — mówiła jedna — czem obraziłyśmy Boga, że musimy to wszystko znosić?

— Ani ja!

— Ależ dla Boga, wszak to jest grzech i nieszczęście zarazem!

— Bóg chyba jeden może nam dopomódz w tem utrapieniu.

— Nie, tak dłużej być nie może!

— Ot, poskarżymy się przed Radojką, a ona powie dziaduniowi.

---

* Władyka = biskup.

— No to poskarż się ty, Seleno...
— Dlaczegoż ja?
— Wszak tobie powiedziała, żeś ukradła jej chustę.
— A czyż tobie nie mówiła, że twój mąż jest dzikim popem?
— Mówiła przecież i Marjannie, że wzięto ją z żebraczej chaty!
— I Vilince, że porodziła bękarta.
Zapewne i tym razem kobiety nie odważyłyby się poskarżyć, gdyby Radojka oddawna nie widziała i nie słyszała tego wszystkiego i gdyby sam Arsen nazajutrz, gdy Anoka pokrajała w kawałki swój nowiuteńki stanik, nie poszedł ze skargą do dziadunia.

Arsen był człowiekiem spokojnym; od dzieciństwa przyzwyczaił się do posłuszeństwa. Nawet drew nie umie sprzedać, dopóki mu się nie powie, ile ma za nie żądać i za ile ma je oddać.
Gdy Arsen wszedł, dziadunio siedział sam jeden w swej izbie. Ponieważ nic już innego robićby nie potrafił, więc łuszczył groch.
Arsen zdjął czapkę i zbliżył się, chcąc pocałować go w rękę.
Dziadunio nasępił się. Nie podnosi głowy, nie podaje mu ręki, tylko oschle mruknął:
— Witam!
— Dziaduniu, proszę cię... ja... właśnie...
Dziadunio zmierzył go ponurym wzrokiem.
— Ja — ciągnął dalej Arsen — właśnie... proszę cię, nie gniewaj się...
Dziad podniósł całkiem głowę, gniewnie odepchnął od siebie koszyczek z grochem i wycedził przez bezzębne usta:
— Wiem o wszystkiem! Co z ciebie za człowiek?! Nie mogłeś dać rady z tą... z tą...
Zamilkł na chwilę.
— Z tą... jedną... Czy chcesz mi cały dom rozpędzić?
Arsen zgłupiał i skamieniał, gdy posłyszał, że dziadunio wie o wszystkiem. Zmienionym głosem rzekł:
— Proszę cię, dziaduniu, nie wiem, co mam począć! Przebacz mi!
Chciał go pocałować w rękę, ale dziadunio ją szybko usunął.
— Idź precz! — rzekł — nie kalaj mi ręki! Czyś mężczyzna?
Arsen odwrócił twarz ku ścianie i zakrył oczy rękawem.
— Czyń — rzekł — ze mną i z nią, co chcesz. Mnie zabij, a ją wypędź, tylko mnie nie odpychaj od siebie, dla Boga żywego!
Broda dziadunia zadrgała nieco.
Chciał ukryć wzruszenie. Wstał poważnie, podniósł głowę w górę i przechylił ją nieco na bok.
— Widzisz, synku, sam przecie ją sobie wybrałeś! Czym ci mówił: ożeń się lub nie?
— Nie, nie mówiłeś, uchowaj Boże! Sam jestem winien we wszystkiem!

Dziadowi znów zadrżała broda, wciąż jeszcze jednak usiłował utrzymać powagę.
— Teraz ja muszę naprawiać, coś ty popsuł.
— Ty przy pomocy boskiej...
— No, a jeśli nie wiem jak?
Gdyby tu była Radojka, spostrzegłaby, jak około ukrytych pomiędzy zmarszczkami ust dziada zjawił się dziecięco-przebiegły uśmiech.
— Jak Bóg cię natchnie! — rzecze Arsen.
— Ale... ty... ją... tego... czy ci już całkiem obrzydła?
Arsen zmięszał się. Chciał milczeniem zbyć to pytanie, ale dziadunio nie spuszcza z niego wzroku.
— Urwis z niej...
— Wiem, wiem! Ale pytam: czy ci już całkiem obrzydła?
Arsen znowu milczy. Chciał uniknąć odpowiedzi, ale dziadunio uparcie patrzy mu w oczy i milczy.
— Może — rzecze Arsen — Burmaz ją zbytecznie pieścił, wiesz, była przecie jedynaczką.
Dziadowi zabrakło cierpliwości.
— Czy słyszysz ty, o co cię pytam? Pytam cię: powiedz mi, czy kochasz Anokę? To mi powiedz!
Arsen spuścił głowę, ukrył twarz w dłoniach, począł wzruszać ramionami, nareszcie rzekł, jąkając się:
— Nie... wiem.
— Powinieneś wiedzieć, bo według tego będę ją sądził. Pamiętaj, abyś później nie żałował i nie gadał tego lub owego.
— Nie, nie będę!
— Dobrze więc. Idź teraz sobie. Muszę się namyśleć.
Kto znał dziadunia, ten odrazuby zrozumiał, że już doskonale wiedział, co ma począć i że był całkiem zadowolony ze swego planu.

IV,

Tego wieczora, gdy siadano do wieczerzy, wszyscy zajęli miejsca według starszeństwa wieku, jak zazwyczaj. Oprócz Radojki, z kobiet nie było żadnej. Jadły osobno. Tylko po dwie lub po trzy z kolei usługiwały mężczyznom. Otóż przyszła kolej na Anokę.
Gdy dwie inne wnoszą i wynoszą potrawy i podają napój, ona oparła się plecami o drzwi i pociera sobie nos.
Dziadunio nie patrzy na nią. Wszyscy milczą. Tylko serce Radojki bije mocno. Anoka nic domyśla się niczego.
Po wieczerzy ludzie poczęli się żegnać i czekają tylko na dziadzia, aby wstać.
Dziadunio odsunął leżący przed nim kawałek chleba, łyżkę i widelec, a nóż włożył do pochwy. Oparł się na łokciach, spogląda po wszystkich, nareszcie zatrzymał wzrok na Anoce.
Coś w niej drgnęło, spuściła ręce. Wyprostowała się i chciała wyjść z izby.

— Czekajno, córko — krzyknął dziad niezwykle dźwięcznym głosem.

Wszyscy zadrżeli.

Tym samym głosem ciągnął dziad dalej:

— Tyś, córko... z tobą, słyszę... zdaje się, że ci tu źle w moim domu i z moimi ludźmi?

Kto widział, by kobieta coś odpowiadała? I Anoka milczy, ale ręką przycisnęła pierś, że aż paznogcie wpiły się w ciało.

Dziadunio znowu tym samym głosem i ze spokojną twarzą ciągnie dalej:

— Nie zniosę tego, dopóki żyję! Nie pozwolę, aby dom mój stał się dla któregokolwiek z mych dzieci więzieniem. Słyszę, że cię te kobiety (brodą wskazał w stronę kuchni) prześladują i krzywdzą. Ale ja tu jestem gospodarzem!

Anoka spostrzega coś złośliwego na pomarszczonem obliczu dziada i obok pogardy po raz pierwszy czuje pewien strach.

— Szukają z tobą zaczepki. Wszystkieby chciały, abyś za nie troszczyła się o wszystko i pracowała. Jak gdybyś z chaty żebraczej przyszła.

Stawał się zwolna tak łaskawym i łagodnym, że Anoce włosy poczynały jeżyć się na głowie.

— Ale nie zniosę tego. Jestem stary i słaby i ciężko mi dawać radę z takimi ludźmi. I nie chcę już tego.

Twarz jego nabrała srogiego wyrazu, a usta poczęły drgać. Począł strasznie i głucho krzyczeć:

— Wszystkim wam, słuchaj i ty, Radojko, i ty, Blagoje, i wszyscy inni, wszystkim wam i waszym żonom rozkazuję, abyście we wszystkiem słuchali tej oto — ręką wskazał na drżącą, jak trzcina, Anokę — i chcę, aby mi nic w domu nie robiła. Niech nie bruka rąk pańskich. Niech nawet nigdy wina nie natoczy! I niech tego Bóg zabije, ktoby jej w czemkolwiek nie usłuchał, lub najmniejszą drobnostką ją skrzywdził.

Zerwał się z siedzenia. Biedny starzec! Poważny, a jednak śmieszny i nędzny. Wychodząc z izby, drżał jak galareta.

Wszyscy przeżegnali się. Powstawano od stołu. Wszyscy omijali Anokę milcząc i ostrożnie, jakby lękając się jej dotknąć.

Straszny szatan opętał Anokę. Jak szalona wpadła do kuchni pomiędzy kobiety.

— Czy słyszałyście, wy? — krzyknie.

Kobiety miały nie słyszeć!

— Chcę teraz, aby mi posłano pod lipą. Chcę mieć pierzynę dziadunia, poduszkę Radojki, a kołdrę Blagoja; chcę, abyś ty, Petrjo, której brat siedzi w więzieniu, wzięła kij, i pospędzała kokoszki z lipy i przez całą noc stała nademną. A kto nie usłucha: »niech go Bóg zabije!«. No czyście słyszały?

Boże mój! Wszak to człowiek może stać się czasem gorszym od zwierzęcia!

Nikt nie wyrzekł ani słówka. Wszystkie czuły pewien strach i wszystkim dźwięczały w uszach wyrazy dziadunia: »Niech go Bóg zabije!«

Arsen pobiegł na gumno, wpakował głowę pomiędzy snopy i zamrużył oczy. Ale próżno chciał zasnąć.

Sen nie kołdra, nie naciągniesz go, kiedy chcesz, na głowę.

Anoce posłano pod lipą. Tak, ale nie tak łatwo zasnąć, jak myślała. Czego nigdy nie było, oto poczuła się osamotnioną. Niby bez dachu nad głową, lub na szalonym koniu bez uzdy, albo na łódce, którą wiatr kołysze, a sternika niemasz.

Własne jej serce miotało się, jak szalone, a nie było nikogo, ktoby je ukoił. Zdawało się jej, że świat przewrócił się, a ona stoi na głowie. Jednak zły charakter nie chce ustąpić.

— Czego drzemiesz, próżniaczko, krzyknie do Petrji — kiedy ja rozkazuję! Chcesz, aby cię Bóg zabił?

Z serbskiego przełożył L. Wasilewski.

Dok. n.

PROSTA OPOWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

Noc zapadła. Błażek z synem Jaśkiem zajechali wozem przed chałupę. Po cichu weszli do środka, gdy nagle spostrzegli cienie strażników, wartujących przy zwłokach.

Krzyki i przekleństwa gospodarza przywołały wkrótce sąsiadów. Błażkowa, wylękniona, uczepiła się mężowskiej sukmany.

— Józek, Józek! — wołała — nie pomstuj tak, nie obrażaj Pana Boga! to grzech tak pomstować, kiej ciało nie spoczywa jeszcze w święconej ziemi! Józek, bój się Boga!

Błażek dał się wreszcie wyprowadzić. Zrozumiał biedak, że nic nie zyska na bezsilnym gniewie.

— Pójdę, kaj mnie oczy poniosą! — zawołał, niech się dzieje co chce!

— O, rany słodkie Boga żywego! — załkała kobieta, — A cóż my tu, sieroty, poczniemy bez ciebie? a robota w polu? a dzieciska? któż im da radę? Słuchaj Józku, mój ty, mój serdeczny, Bóg wszechmogący zabrał nam Franka, dyć prawda, ale wszystko, co mamy, to Jego... to od Niego...

Błażek pozostał głuchym. Szedł prosto przed siebie, w stronę lasu. Oparta o ścianę sąsiedniej chaty, kobieta stała, ocierając łzy fartuchem.

Nazajutrz strażnicy zmusili Jaśka, żeby zaprzągł konie do wozu i sami złożyli na nim trumnę. Zbiegli się mieszkańcy całej wsi, w części przez ciekawość, w części przez szczere współczucie. Stali, niepewni, co im czynić wypada, czy iść za ciałem, czy pozostać.

Oniemiała z bólu Błażkowa, patrzyła w około bezprzytomnie. Oczy jej nie miały już łez, nogi uginały się pod nią, omdlewała. Kiedy zobaczyła wóz, gotowy już do odjazdu, rzuciła się na ziemię, ręce wyciągnęła do trumny i krzyczała rozdzierającym głosem:

— Dziecko ty moje ukochane! mój ty pierworodny, najmilejszy! Nie użyłeś ty szczęścia na ziemi, nieboże, i nawet ludzkiego pogrzebu nie masz! Ludzie nie zawodzą pieśni za tobą, ani dzwony dla ciebie nie biją! Oj doloż moja, dolo!

Serca wszystkich wezbrały żałością wielką. Chłopi jęli coś szeptać pomiędzy sobą i w chwili, kiedy wóz ruszał z miejsca, Szymon Stępniak, jeden z gromady, który się znał na kościelnych rzeczach, jak sam organista, odetchnął głęboko i z całych sił swoich płuc potężnych, zaintonował hymn za umarłych.

Powstał wtedy zamęt nie do opisania. Strażnicy chcieli zmusić tłum do milczenia, rozpędzić go.

— To człowiek nasz, prawosławny! — krzyczeli, — archierej, pop, tak powiedzieli, nielzia śpiewać katolickich pieśni!

Wieśniacy, przerażeni, nie wiedzieli, czy iść dalej, czy przed władzą ustąpić. Mniej odważni milczeli, — inni, a pomiędzy nimi większa część kobiet, zawodzili dalej żałośliwymi tony.

W końcu jednak pięścią i batem zmusili strażnicy wszystkich do milczenia.

Tłum rozszedł się powoli.

Pozostało jeno kilka kumoszek, które nie chciały opuścić Błażkowej.

— Oj, doloż moja, — skarżyła się nieboga, — ni cię ojciec nie pożegnał, ani przeżegnał na tę drogę ostatnią, syneczku mój miły! aniśmy dobrym ludziom żadnego poczęstunku nie dali... zabrali cię, kieby sierotę...

— Józefowa, a czemu to waszego niema? — pytały kobiety.

— Oj niemasz go, niema, — płakała Błażkowa, — poszedł on kajciś w tę nockę ciemną i nie powrócił! a może już tak Pan Jezus chciał... chybaćby on tym Moskalom łby porozbijał.

Kobiety pomogły Błażkowej powstać i chciały ją zabrać ze sobą. Ale ona oparła się temu. Już dosyć długo po próżnicy chodziła. Trza izbę wybielić, ni ładu w niej tera, ni składu, a jakie okrutnie duszące powietrze!

Wzięła cebrzyk i rydel, poszła do dołu pod górką i nakopała czystej, jasnej gliny.

Około południa Błażek wrócił. Znalazł chałupę otwartą i okna wyjęte z zawias. W izbie, kobieta stała na stołku i bieliła ściany. Głowę miała owiązaną kawałkiem grubego płótna, twarz białą jak młynarka, spodnica jej i fartuch zabryzgane były gliną, rozrobioną w wodzie.

Chłop nie przemówił słowa, poszedł do komory, ukrajał sobie kawał chleba, wziął kosę na ramię i skierował się ku łące. Nie zapytał ani o Jaśka, ani o konie, ani o resztę dzieci.

— Idzie kosić nieboże, a wziął sobie ino kromeczkę chleba - pomyślała ze smutkiem kobieta.

Wieczorem chata przybrała napowrót zwykły wygląd. Nikt przecie nie chciał w niej pozostać.

Nieokreślona obawa, jaką zwykle śmierć wnosi, opanowała mieszkańców i gospodyni musiała wynieść wieczerzą na ławkę przed drzwiami, poczem wszyscy pokładli się na sianie w stodole.

Błażek wybrał się do miasta, wykupił swoje buty i sukmanę i powrócił także do zwykłych zajęć. Kosił, rozrzucał siano, zbierał... Zmitrężyło się siła czasu.

O Franku nikt nie wspomniał. Aż razu pewnego grabarz z prawosławnego cmentarza przybiegł do djaka z ważną nowiną. Znalazł grób rozkopany! Djak pośpieszył powtórzyć nowinę popu. Narobiła ona wrzawy niemało. Posłano po strażników. W samej rzeczy, grób Franka Błażka był pusty, — trumna została wykradzioną.

Gniew popa nie miał granic.

— A zbóje, a kanalje! dla nich niema nic świętego! profanują groby, wykradają umarłych!

Strażnicy i pisarz podzielali oburzenie popa.

— To sztuczka tych Polaków! oni wszyscy jednacy! buntowszczyki i nieprzyjaciele prawosławnego kościoła i cara! — unosił się pop. — Ja im pokażę! to z pewnością robota Błażka... ja go nauczę!

Wysłano strażników do wsi. Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy przybyli do zagrody Błażka. Gospodyni szykowała do wieczerzy, Błażek zajęty był w podwórzu. Posłyszawszy hałas, wybiegł co żywo, ale gdy zoczył strażników, zwolnił kroku, wyprostował się, oparł spokojnie grabie o ramię i zaledwie raczył uchylić czapki.

— Ty wiesz dobrze, pocośmy tu przyszli, co? — groźnie zapytał strażnik.

— A kajże mam wiedzieć?

— Kto ukradł trumnę z cmentarza?

— Jezusie Nazareński! — jęknęła kobieta.

Na twarzy chłopa ani jeden muskuł nie zadrgał.

— Co, możeś to nie ty odgrzebał trumnę? gdzieżeś ją podział? gadaj!

— Czego wy chceta odemnie?

— Niby to! udaje, że o niczem nie wie! A któżby inny wykradł twego syna?

— Abo ja wiem? — odrzekł Błażek nieco drwiąco. — Ja go tam nie chowałem, tom i nie pilnował. Przyszliśta, zabraliśta go, kiejby on był wasz.

— Pop sam powiedział, co on nasz!

— E-e-e, — powoli mówił chłop, — znać nie wasz, skoro nie chciał zostać na waszym cmentarzu, ino se kajś poszedł spokojności szukać... — Ostatnie słowa Błażka przygłuszyły pogróżki.

— Dobrze, zobaczysz, co cię spotka! wiesz jaka jest kara za okradanie grobów?

Błażek patrzył na strażników obojętnie. Odeszli w strasznym gniewie, posiliwszy się wszakże przedtem zsiadłem mlekiem i serem i przyjąwszy na drogę świeży chlebek i trochę drobnych, które im gospodyni wyniosła.

W tym właśnie czasie przypadał objazd naczelnika powiatu. Pisarz i wójt byli wielce niespokojni. Sprowadzili kilka butelek dobrej wódki, Litewki, — wiedzieli, że tę naczelnik najchętniej pijał, — baryłeczkę kawioru, wędzonych ryb i innych smakołyków, których nazwy były zupełnie na wsi nieznane.

Wszystko poszło jak z płatka. Pan naczelnik był w doskonałym humorze i uprzejmie raczył przyjąć ofiarowane sobie śniadanie.

Po przekąsce i kilku kieliszkach owej ulubionej wódki, pisarz opowiedział ze wszystkiemi szczegółami historję wykradzenia zwłok Franka.

— Ależ to jasne, — wyrzekł pan naczelnik — że tylko brat, lub ojciec wykradł trupa. Trzeba wykryć przestępcę i dowieść mu winy, a jeśli się to nie uda, zmusić ich wszystkich do przyjęcia prawosławja. Taki występek, nieukarany, pociągnąłby za sobą opłakane skutki w całym kraju! dość tych buntów!

Pop był tego samego zdania.

— Zuchwalstwo Błażków przechodzi wszelką miarę. Jeszcze i nas palec Boży dosięgnie, jeżeli przepuścimy bezkarnie takie świętokradztwo! — i ze świętem oburzeniem dodał: — zacznę od pociągnięcia ich do odpowiedzialności za niedbalstwo w dopełnianiu obrządków religijnych, ostatnie ich dziecko dotąd jeszcze nie ochrzczone.

— Powiadacie, batiuszka, że ten chłop nazywa się Błażek, — zapytał naczelnik. — przypominam sobie to nazwisko... może uda nam się powrócić tę rodzinę na łono naszego świętego, prawosławnego kościoła, którego głową jest nasz najjaśniejszy cesarz!

Wszyscy pochylili czoła, wójt zaś, który nie rozumiał po rosyjsku, przybrał minę, zastosowaną do okoliczności.

Naczelnik drżał z obawy przed popami. Wiedział dobrze, iż najmniejsza denuncjacja z ich strony, choćby nawet pozbawiona podstawy, zrzuciłaby go z urzędu. Dzielił ze swymi współziomkami głęboką pogardę dla sług własnego kościoła, ale szanował w nich najwielmożniejszych przedstawicieli władzy, — wiedział, że postępowanie, zgodne z ich tendencją, jest najpewniejszym sposobem zaskarbienia sobie łask wyższych sfer rządzących.

Pop znów nie wątpił ani na chwilę o religijnym indyferentyzmie naczelnika, ale nie miał mu ze swej strony niczego do zarzucenia. Naczelnik nie omieszkał nigdy, około świąt Wielkanocnych, dopełnić z wielką ostentacją obowiązków religijnych. Nie zadowalniał się, jak inni urzędnicy, kupionem świadectwem od popa swojej parafji, lecz spowiadał się i komunikował z pozorami najgłębszej wiary i gorliwego nabożeństwa.

Pop znał swoją nieograniczoną władzę i przyjemnem było mu przeświadczenie, że tłum urzędników drży przed jego gniewem i jego nieubłaganemi »doniesieniami«.

Wykrycie, że jeden z członków jakiejś katolickiej rodziny był kiedyś ochrzczony, lub pogrzebany, przez unickiego księdza, stanowiło dla najdrobniejszego urzędniczka wyborną sposobność zaznaczenia swej gorliwości dla świętej sprawy prawosławja, było najłatwiejszym środkiem do pozyskania gratyfikacji, orderu, czy awansu.

Naczelnik powiatu była to natura słaba, zapominał się łacno i często nadużywał rozgrzewających napojów. Leniwy, opieszały, zaniedbał nieraz jakąś ważną sprawę i okupywał to później zdwojoną surowością względem swych podwładnych. Znając wszakże swoje lenistwo i słabość do kieliszka, rozumiał, że jedynym środkiem utrzymania stanowiska jest zgoda z duchowieństwem, tem więcej, że pisarz Siergijewskij żył z popem ręka w rękę. C. d. n.

Przekłady z języka polskiego.

Pismo hamburskie »Der Zuschauer« umieściło nowelę M. Konopnickiej »W dolinie Skawy« ze zbiorku »Na drodze« w przekładzie p. Malwiny Posner Garfein. »Politik« praska podała w ostatnich czasach tłumaczenie następujących utworów polskich: »Proboszcz« M. Parczewskiej, »Zaduszki« Walerji Lange i »Martwa natura« M. Konopnickiej.

Jako odbitka z pisma ormiańskiego »Murg« (Młot) ukazało się tłumaczenie powieści H. Sienkiewicza: »Bez Dogmatu«, dokonane przez p. Tigzana Tez-Joannisjanca. Pismo ormiańskie »Ardzagank« (Echo) podało przekład dwóch utworów tegoż autora: »Janka muzykanta« i »Pójdźmy za nim«.

W Zagrzebiu wyszedł pierwszy tom »Ogniem i mieczem« H. Sienkiewicza w zbiorze »Zabavna knjižica«. Przekładu dokonał najwybitniejszy współczesny poeta chorwacki August Harambašić.

W miesięczniku »Deń«, organie demokratów socjalnych w Bulgarji, znajdujemy przekład znanej poezji »Czego chcą oni«.

Przekład małoruski »Kaliny« T. Lenartowicza przyniosła »Zoria«. Jako odbitka z »Czytalni« lwowskiej ukazały się »Gawędy ekonomiczne« Z. Herynga. »Gieografja« Benoniego i Tatomira wyszły we Lwowie po rusku. W pierwszym zeszycie wydawnictwa »Świt i lude«, rozpoczętem przez M. Biłousa w Kołomyji, znajdujemy dwa utwory polskie, mianowicie »Tatarzy na weselu« J. I. Kraszewskiego i »Bracia« z Kaczkowskiego w przeróbce na podejrzanej czystości język małoruski.

Wychodząca od niedawna w Ołumuńcu na Morawach »Matice Slovanska« przyniosła garstkę rzeczy polskich różnych autorów, mianowicie: »Wart pac pałaca a pałac paca« Lisickiej; »Wiosna« Sewera-Maciejowskiego; »Fräulein« W. Kosiakiewicza; »Michałko« B. Prusa: »Proboszcz« M. Parczewskiej; »Tu jest ci najlepiej« H. Sienkiewicza i »Rezerwista« A. Wilczyńskiego. W dziełku »Nova zbirka slovanskich pohadek« znajdujemy polską opowieść o koniu, wołu, kogucie, kaczorze i raku, wyjętą ze zbioru O. Kolberga. »Ženské listy« podały powiastkę Antoszki »Z życia nauczycielki wiejskiej«. »Stare długi« komedja M. Gawalewicza została przełożoną na język czeski przez B. V. Konecznego. A. E. Mužik przełożył dwa utwory A. Mickiewicza: »Czaty« i »To lubię«. Pierwszy został zamieszczony w »Kalendarzu pani a divek czeskych«, drugi zaś w »Almanachu« najlepszego czeskiego pisma ilustrowanego »Zlata Praha«. W piśmie »Zabawni listy« spotykamy dwa utwory p. Teresy Klemensiewiczównej, mianowicie: »Starą piosnkę« i »Dwie«. Dziewiętnasty tomik »Knihowny Besed lidu« zawiera »Polskie obrazki« W. Kosiakiewicza (»Pan hrabia na trzeciem piętrze«, »Łzy sarny« i »List od syna«) w przekładzie B. V. Konecznego. »Besedy lidu« wydrukowały »Wygraną« Wł. Niedźwiedzkiego. W dodatku do »Narodnej Polityki« spotykamy się z utworem Ursyna (Jana Zamarajewa) »Obrączka ślubna«. »Narodni Listy« podały nowelkę A. Mieszkowskiego »Przed narodzeniem«. »Zarys dziejów Polski« M. Bobrzyńskiego począł wychodzić w Pradze w przekładzie dra Jarosława Bidlo.

Redakcja »Russkiej Mysli« wydała utwór H. Sienkiewicza »Pójdźmy za nim«. »Bajczarki« M. Bałuckiego wyszły w Moskwie w »Bibljotece teatralnej«, dodatku do miesięcznika »Artist«. »Mir Božij« umieścił tłumaczenie opowiadania H. Sienkiewicza: »Lux in tenebris lucet«. Opowiadanie to było już tłomaczone na język rosyjski kilkanaście razy. »Żywopisnoje Obozrenje« drukuje »Czciciela potęgi« E. Orzeszkowej. W wydawnictwie petersburskiem »Poleznaja bibliotieka«, stanowiącem dodatek do pisma »Priroda i ludi« mają się ukazać »Listy z Afryki« H. Sienkiewicza, które już były drukowane w miesięczniku moskiewskim »Russkaja Mysl«. »Kijewlanin« podał przekład »Białego konia« Kl. Junoszy. Tegoż samego autora monolog »Uleczony samobójca« zamieścił tygodnik petersburski »Siewier«. »Russkij Wiestnik« drukuje »Świetne przedsięwzięcie« Alb. Wilczyńskiego. »Sen« B. Prusa w przekładzie na żargon moskalofilski został umieszczony w »Hałyczanynie«. *W. L.*

Rozbiory i sprawozdania.

Dr. Franciszek Majchrowicz. — Tadeusz Czacki i jego poglądy na sprawy wychowania publicznego. Lwów 1894. str. 97.

Najpierw w »Muzeum« a następnie jako odbitka z tegoż czasopisma, pojawiła się źródłowa praca Dr. Majchrowicza pod tytułem w nagłówku zacytowanym. Autorowi zależało na tem, aby w 80-tą rocznicę śmierci wielkiego wychowawcy uczcić jego pamięć. Pracę swą podzielił na dwie części, mianowicie na biograficzną i na część przedstawiającą nam poglądy Czackiego na ogólne zasady wychowania i zapatrywania jego na niektóre szczegóły z życia szkolnego. Część pierwsza, t. j. biografja wielkiego założyciela szkoły Krzemienieckiej przedstawioną została nader pobieżnie, jakkolwiek wielkiego nakładu pracy zupełnie nie wymagała wobec licznych dzieł, traktujących o Czackim, a zacytowanych ostatecznie w Encyklopedji wychowawczej t. III. przez Piotra Chmielowskiego. Zdaje się nam, że ze względu na drugą część swej pracy powinien był autor tę lukę starannie wypełnić. Owa druga część pracy w rzeczywistości jest starannie obrobioną i ma wartość niepoślednią, już choćby z tego względu, że autor czerpał z materjałów rękopiśmiennych, znajdujących się w bibljotece XX. Czartoryskich w Krakowie, a obejmujących wizytacyjne protokoły Czackiego. Na podstawie tych materjałów rękopiśmiennych udało się autorowi dość szczęśliwie zebrać owe poglądy Czackiego na ogólne zasady wychowania i przedstawić takowe w formie nienużącej. Obraz Czackiego, jakkolwiek niewykończony co do szczegółów, występuje jasno w szkicowym zarysie. Praca dra Majchrowicza powinna się znaleść w rękach naszych wychowawców pedagogów, i wogóle ludzi, mających wpływ na nasze szkolnictwo, a może wówczas niejeden po przeczytaniu tej pracy potrafi połączyć obowiązki wychowawcy i obywatela zarazem, co należy u nas do nielicznych, niestety, wyjątków. *E. Br.*

PRO MEMORIA.

28. stycznia 1819. Zmarł w Warszawie Jan Kiliński.

28. stycznia 1872. Towarzystwo naukowe krakowskie przeistoczone zostało na Akademję umiejętności.

29. stycznia 1831. Wybrany został Rząd Narodowy z pięciu osób: ks. A. Czartoryskiego, W. Niemojewskiego, T. Morawskiego, S. Barzykowskiego i Joachima Lelewela.

31. stycznia 1833. Kolumny polskie udają się na wyprawę do Sabaudji przeciw absolutnym rządom.

3. lutego 1825. Aleksander I. znosi jawność obrad sejmowych Królestwa Polskiego.

3. lutego 1893. Zmarł we Florencji T. Lenartowicz.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.